



Z NASZYCH KRAJOBRAZÓW.



fol. H. Gąstorowski.

WIDOK Z KICZERY NAD WOROCHTĄ W STRONĘ CZARNOHORY (BESKID WYSOKI).

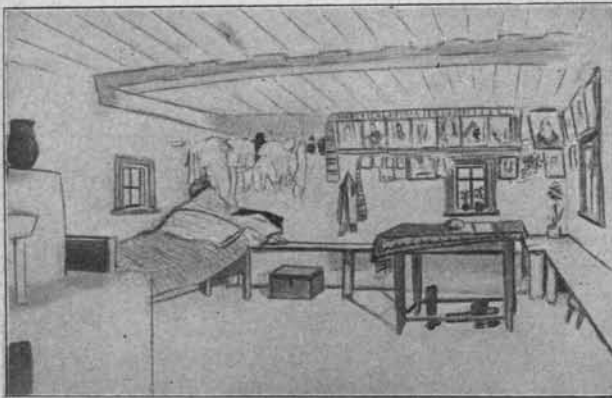


Kazimierz Moszyński.

## Z UKRAINY.

9)

Powinienbym tu dodać kilka słów o wewnętrznym urządzeniu lepianki wasylowskiej, a zwłaszcza o urządzeniu pieca, zamiast tego jednak podaję dokładny rysunek i zdjęcie; zaznaczę tylko, że piec ten zakończony jest lejkwatą zwężającym się ku górze, występującym nieraz wysoko ponad strzechą, czworokątnym <sup>1)</sup>, albo też niższym i okrągłym kominem (trubà v. werch), plecionym z chrustu i oblepionym gliną; zaznaczę dalej, że często spotykane otwory dymnikowe w szczycie dachów świadczą mniej obeznanym z dziejami budownictwa, że i tutaj komin jest stosunkowo młodszym nabytkiem; powiem wreszcie dla uzupełnienia powyższego opisu pierwotnej lepianki ukraińskiej,



WNĘTRZE CHATY W STEFANINIE, POW. WASYLKOWSKI. rys. W. Moszyński.

że i w niej, jak w chacie „pratrypolskiej“ musiało niegdyś istnieć zamiast pieca, wkopane pośrodku izby w ziemię i otoczone kamieniami ognisko, jakie jeszcze w r. 1829 spotykano po chałupach litewskich.

Sprawę budownictwa tutejszego zakończę wnioskiem, że Ukraina zdawna znała dwa różne typy lepianek mieszkalnych: okrągłą lub owalną „kłunię“ <sup>2)</sup> i czworokątną „chatę“. Któremu

<sup>1)</sup> Czworokątny „werch“ widywałem tylko w Trypolu, a podobny komin był i w Polsce niegdyś bardzo pospolity. Porówn. np. Kolberg, Lud V, 166; K. Wójcicki, Archiwum domowe, 408 i t. d.

<sup>2)</sup> Wyras „kłunia“ oznacza do dziś dnia także mieszkalne budynki (Kłunia — miejsce sypiania wieśniaków. Słow. jęz. pol. II, 375).

z nich jednak przypisać pochodzenie słowiańskie, a któremu obce, jeżeli oba nie były zdawna własnością Słowian? Nietylko okrągła lepianka, ale nawet czworokątny, pokryty dwupołaciowym dachem dom ma daleko idące, „wszechświatowe“ analogie, a że w takim domu otwór drzwi odgrywał jednocześnie rolę okna, musiał więc być zabezpieczony od deszczu i wiatru występującą strzechą, opartą bądź na przedłużeniach belek ściennych, bądź na zatkniętych w ziemię słupkach. W istocie czworokątne domy, składające się z izb i przyzb, spotykamy, że pójde za przykładem podanym przez Lipperta, nie tylko w Europie, ale i w dalekiej Nowej Zelandyi, a ta okoliczność sama przez się prowadzi do wniosku, że budowle podobne mogły powstawać wszędzie, zatem i u Słowian, zupełnie samorzutnie; ponieważ jednak, opierając się na szeregu innych zjawisk, można równie stanowczo twierdzić, że typ kleci mógł przywędrować do nas z południa, więc ostateczne rozstrzygnięcie tego zagadnienia zależy tylko i jedynie od sumiennych a szczegółowych badań lingwistycznych <sup>1)</sup>.

### IV.

Z obu wyżej wzmiankowanych typów budowlanych składały się zdawna i składają do dzisiaj liczne wsie Perepetowego pola <sup>2)</sup>,

<sup>1)</sup> Słowo „chata“, ludowi polskiemu zupełnie nieznanne (K. Nitsch, Mowa ludu polskiego 1911, str. 119), jest pochodzenia obcego: łączy go ze staropolskiem „kata“ (od „kan“ — kopać) lub rzadziej z germańskiem „kot“, „kote“. Wcale nie ratuje sytuacji i nasza „chałupa“, która przy pierwotnym greckim rozkładzie nosi i nazwę grecką (kálybè — chata); za to stary wyraz „kłunia“ jest rdzennie słowiański („Encykl. polska“, 1912, t. IV, cz. 2, str. 195).

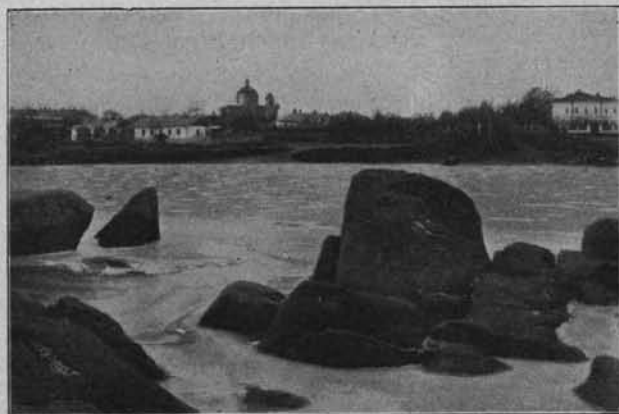
<sup>2)</sup> Zasługuje na powtórzenie podana w r. 1853 wiadomość o cerkwiach wasylkowskich. Brzmi ona jak następuje: „Na obszernym placu, wśród rozstępu chat pospolicie stoi cerkiew, z trzema kopułami, białą blachą pobijanemi; w niektórych dokoła idą krużganki. Architektura ta bez wątpienia nie jest zbyt nadobną, wszelakoż cechu-

o których wspominałem już przy omawianiu krajobrazu tutejszego i później na początku rozdziału trzeciego; tu powtórzę jeszcze, że wsie, leżące w jarach, są zwykle rozrzucone bezładnie po zboczach, że wsie leżące w stepie są najczęściej wskroś przecięte niezmiernie szeroką i mającą nieliczne rozgałęzienia ulicą. Najdawniejsze osady zwiedzanej przezemnie okolicy skupiły się pod samą granicą leśną. Tak dokoła Wasylkowa leżą starodawne, bo już na początku XI w. wspomniane wsie: Hulaniki (dziś Motowidłówka), Sołowijówka (dziś Sołtanówka), Petryczyn (dziś Barachty) i Czmielwo (dziś Frostynka<sup>1</sup>); na północnym wschodzie ponad Dnieprem gromadzą się równie starożytne osady, jak Chalpie i Wityczów<sup>2</sup>). Pozostała przestrzeń, to

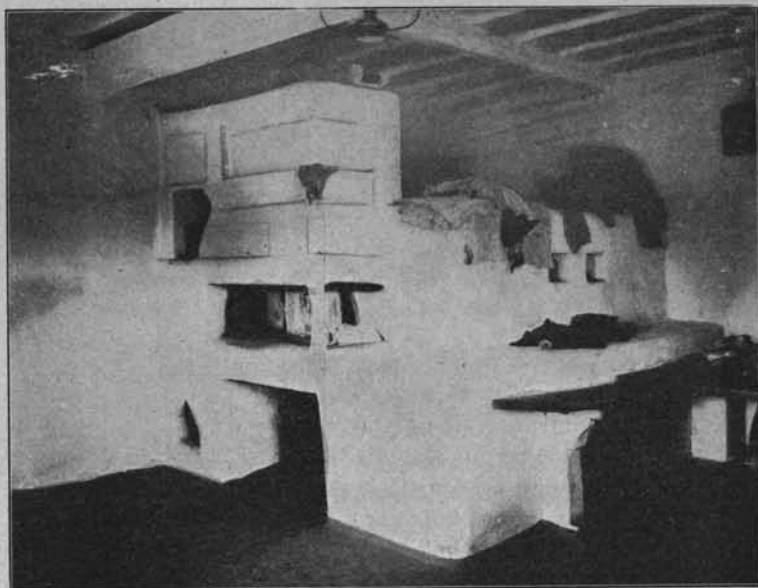
je się jakimś odrębnym swojskim rysem, nigdzie nie spotykany; żalować przeto należy, iż obecnie budujące się cerkwie odbiegają od tej, że tak powiem ukraińskiej architektury: stawiane częstokroć w murze, lubo na pozór są porządniejsze, tracą jednakże na wyrazie oryginalności". (E. Rulikowski: „Opis powiatu wasylkowskiego“, str. 145). Opis powyższy świadczy, że i w Wasylkowskim były niegdyś drewniane cerkwie w stylu rodzimym, przytem, jak widać z wzmianki, bardzo podobne do skrzętnie dziś notowanych, rysowanych i fotografowanych cerkwi ukraińskich i podolskich. (Podobne znajdujemy nawet w Chelmskiem. Ob. „Ziemia“, III, 316 i d.).

<sup>1</sup>) E. Rulikowski: „Opis powiatu wasylkowskiego“, str. 25.

<sup>2</sup>) „Słow. geograf.“ sub Trypol.



ROŚ POD BIAŁACERKWIĄ, POW. WASYLKOWSKI.



fol. K. Moszyński.

PIEC W CHACIE W STEFANINIE, POW. WASYLKOWSKI.

w pierwszej połowie II tysiąclecia pusty step, przeważnie przez koczowników zajęty; to też początku najstarszych dzisiejszych osad na właściwym Perepetowem polu i u źródlowisk rzeki Krasnej, z Wasylowem i Hermanówką włącznie, należy szukać przeważnie dopiero w XV, a zwłaszcza pod koniec XVI wieku, kiedy ten kraj uspokoił się nieco pod opieką Polski.

Liczne jednak grodziska, zwłaszcza starsze, okrągłe, świadczą że w I tysiącleciu po Nar. Chr. ludność osiadła<sup>1</sup>) głębiej w step sięgała. Tu należą między innymi dwa okrągłe grodziska pod Białacerkwią i jedno na zachód od Chrapaczowa. W późniejszych czasach, w miarę rozwoju wojennego przemysłu, budowano potężne, wałami otoczone, graniaste „horody“. Piękne grodzisko, pozostałe po takim horodzie, o którym już wspominałem, znajdujemy między Łosiatynem a Sokołówką. Ma ono 1296 sążni w obwodzie; jest otoczone od południowego wschodu na rozciągłości 469 sążni wałem i rowem, od północnego wschodu—głębokim jarem, z innych stron—rzeką Rotkiem; wedle podania mieszkańców ma być pozostałością dawnego miasta Sokołowa<sup>2</sup>). Po-

<sup>1</sup>) Mówię „osiadła“, a nie „słowiańska“, gdyż niektóre z tych grodzisk mogą być założone przez Tiurków, którzy wzorem Słowian zaczęli powoli zamieniać się w żywioł osiadły i budować własne grody.

<sup>2</sup>) Antonowicz: „Archeolog. karta kijowskiej gubernii“, str. 50.

fol. P. Niedozielski.



dobne graniaste grodziska znajdujemy w Chwastowie, Ustymówce, Wasylkowie, Wasylowie i Białejcerkwi; zatem wszystkie zwiedzone przezemnie miasta i osady tujejsze mają za podstawę horodyszcz<sup>1)</sup>.

\*

W Białejcerkwi widzimy grodzisko po zamku polskim z XVII i XVIII w., wznoszące się na granitowym, lesem pokrytym wybrzeżu Rosi. Piękny w tem miejscu, wysoki i urwisty brzeg, kolcowo-jem zarośnięty, oraz głęboka i wartka rzeka dawały mu od południowego zachodu znaczną zasłonę; teraz rozsiadł się na niem wielki katolicki kościół. Na północ i wschód od grodziska, a zarazem od Rosi, na równym stepie, rozciąga się właściwe miasto, wstrętne, brudne, pełne Żydów, nie mające ani jednego domu, ani jednego bodajby spichrza, godnego widzenia<sup>2)</sup>. Za to brzydotę miasta stokrotnie wynagradzają przedmieścia, a zwłaszcza sama Roś, po obu brzegach której występują miejscami nagie gra-



MIEJSCE, GDZIE STAŁ ZAMEK W BIAŁEJCERKWI, POW. WASYLKOWSKI.

nitowe złomy<sup>1)</sup>, a wzdłuż ciągną się ogrody, gaje i wsie. Słynny zwłaszcza z piękności jest park Branickich „Aleksandrya“.

Jeżeli z Białejcerkwi dawnym gościńcem pocztowym, przesywającym wprost cały step białocerkiewski, udamy się do odległego o 50 wiorst Wasylkowa, to przed nami rozciąga się lekko falista rozległa równina — prosty, jednolity step-pole. Będziemy mijali łąny pszenicy<sup>2)</sup>, żyta, i owsa, ogromne pola buraków i mniejsze gryki; dostrzeżemy przeważnie zdaleka kilka wsi, a w nich po kilka białodrzewi lub sokór, i wreszcie, minąwszy pod Mytnicą wał, idący stąd ku Stuhnii, a odgraniczający wedle umowy z r. 1667 okolicę Kijowa od Polski, zobaczymy, jadąc już po ziemiach od półtrzecia wieku przez nas straconych, naprzd po lewej ręce wielki strem, a później wprost przed sobą potężny jar Stuhnny, przecinający wprost drogę. Na przeciwnym jego zboczniu piętrzą się w malowniczym nieładzie liczne bielone domki rozległego Wasylkowa. Wjeżdżamy na płaskie, piaszczyste dno jaru i, minąwszy niewielką strugę Stuhnny, jesteśmy na miejscu.

Wasylków — stolica powiatu, nie jest właściwie z wyglądu ani mia-

<sup>1)</sup> Mówiąc ściśle nie są to granity, lecz gnejsy. (Zbiór wiad. do antrop. kraj. XIII, 3).

<sup>2)</sup> Zarówno pszenicę, jak i często dziś jeszcze spotykane proso, znaly te okolice już około X w. po Chr. Świadczy o tem znalezienie obu tych zbóż w grodzisku słowiańskim Szarhorodzie. (Niederle „Slov. Star.“ Oddil kulturni, 1912, I, 180).

<sup>1)</sup> W całej gub. kijowskiej jest 435 grodzisk. Hruszewskij l. c., 449.

<sup>2)</sup> Na cmentarzu białocerkiewskim leżą zwłoki ojca ś. p. Jana Stanisławskiego. Sam artysta dłuższy czas przebywał w okolicy tego miasta.



WIEŚ MAKIJÓWKA, POW. WASYLKOWSKI.

Jol. K. Moszyński.



CERKIEW W WASYLKOWIE.

stem, ani wsią; typowa to ukraińska osada, złożona z niezliczonych, szeroko porozrzucanych chat, oraz kilkudziesięciu wyższych domków drewnianych i murowanych, zgromadzonych zwłaszcza dokoła głównej ulicy, idącej od Stuhny pod górę ku sobornej cerkwi. Cerkiew ta stoi na samym szczycie północnego zbocza, w miejscu, gdzie wklęsłość jaru się kończy i zaczyna równy, wysoki step. Tu wznosił się niegdyś na sztucznym nasypie właściwy gród wasylkowski, po którym dzisiaj zostało nieźle zachowane grodzisko. Około r. 995 Włodzimierz Wielki, uciekając przed Pieczyngami, ukrył się niedaleko stąd pod miastem, a wdzięczny Bogu za ocalenie postawił cerkiew<sup>1)</sup>. Od owego czasu na pamiątkę chrześcijańskiego imienia księcia, miejsce to poczęło się zwać Wasylewem, a później Wasylkowem. Mimo tego podania, uderza nas zmysł wojskowy Włodzimierza; gród bowiem wasylkowski leży nietylko w miejscu dość obronnym, ale zarazem na ważnej obronnej linii, wyznaczonej między innymi przez Trypol z jednej, a potężny niegdyś „Hrubsk“<sup>2)</sup> z drugiej strony. Na tej samej linii — granicy lasów — powstał później Chwastów.

Bardzo zbliżone ogólnym wyglądem i położeniem do Wasylkowa jest miasteczko podobnego

<sup>1)</sup> Latopis Nestora podr. 6502—6504.

<sup>2)</sup> Dziś grodzisko tego imienia pod Chodorkowem. Dokładny opis Bibl. Warsz. 1894, IV, str. 371.

imienia — Wasylów. Leży ono na dnie jaru Krasnej i podobnie jak Wasylków posiada grodzisko, zwane tu „zamkiem“, leżące jednak nie na górze, a w padole, na ostrowie spuszczonego dzisiaj stawu. Zabudowania miasta łączą się jarem prawie nieprzerwanie z przepięknie położoną wsią Makijówką od zachodu i Perehonówką od wschodu. Dalej, we wschodnim kierunku ciągną się padolem ludne a wielkie wsie i osady: Siemionówka, Hermanówka, Hryhorówka i inne, aż do samego Trypola. Wogóle Wasylków i jego okolica to najpiękniejsze miejsca kończącego się

tu „pola Perepety“. Zwłaszcza widok na kościół i miasto z katolickiego cmentarza w gorące letnie południe jest niezrównany; inny, niemniej piękny, roztacza się przed nami z przeciwległego, północnego zbocza jaru, z urwistej drogi od Makijówki do Deremizny: połowa widnokregu zajęta jest tu przez głębokie rozdoły wąwozów, przez sady, bugaje i chatki Jacek, Makijówki i części Wasylowa.

Droga z Makijówki do Deremizny, opuściwszy wąwóz, wybiega już na czyste, stepowe pole i prowadzi do samego Trypola (Trypolje), który jest czwartą z rzędu większą osadą zwiędzoną przezemnie<sup>1)</sup>. Nazwa jego pochodzi pra-

<sup>1)</sup> Przez Chwastów przejeżdżałem tylko ko-



fol. K. Moszyński.

WIEŚ PEREHONÓWKA, POW. WASYLKOWSKI.



wdopodobnie od trzech „pól“, na jakie rozcinają okolicę tamtejszą, schodzące się pod ostrym kątem jary Stuhny i Krasnej, pozostawiające jedno „pole“ między Dnieprem a Krasną, drugie między Krasną a Stuhną, trzecie między Stuhną a Dnieprem. Tam właśnie, drugim polem biegnie droga z Wasylowa do Trypoła. Opuściwszy Derenicę, nie spotykamy na miejscu ani jednej wsi: wszystkie ukryły się w jarach; naokoło tylko żyta, pszenice wąsate i owsy, czasem przegrodzone rozległymi buraczyskami, grochowskiem lub poletkami gryki. Trwa to mniej

więcej aż do miejsca, z którego od południa widać na widnokręgu wierzchołki drzew Hryhorówki, a od północy, na dalekiej wstędze sosnowych borów — Obuchów; odtąd zaczynają się jednolite łany żyta ze słabą domieszką pszenicy bezwąsej: poprostu nie widać żadnej innej rośliny, tylko żyta, żyta i pszenice. I mimo, że zbliżamy się już coraz bardziej do szeroko rozwartego jaru rzeki Krasnej, że, nie odczuwając prawie tego, wjeżdżamy na jego łagodnie zbocze, że wreszcie wdali, w łęku między ścianami wąwozu widać już Trypol jak na dłoni — żyta ciągną się precz, niby jednolite złotawe morze. Wreszcie morze to, pozostając lewą połacią na „wysokim“ polu, prawą poczyna się co raz bardziej chylić i staczać łagodnie wraz z nami w dół, ku Krasnej, nad którą widać zdaleka zielone łęgi, bugaje drzew i chaty, a poza nimi zwartą, wyniosłą, do jednolitego pasma pagórów podobną, południową ścianę jaru.

leją. Często przezemnie odwiedzana osada fabryczno-cukrownicza Hrebionki—Saliwonki, z dwóch wsi tego imienia złożona, nie przedstawia nic ciekawego; to tylko zaznaczę, że w niej, jak w ogóle we wszystkich osadach, należących do dóbr białocerkiewskich, jest bardzo wielu Polaków, podczas gdy np. w takim Wasylkowie niema ich, zdaje się, zupełnie.

C. D. N.



I. T. Runo.

## MISTRZ ADAM.

Warszawa w końcu szesnastego wieku zaczęła coraz bardziej przybierać wygląd wielkiego miasta. Wokół rynku wyrosły murowane kamienice, które nawet Włochowi Pawłowi Mucante, przyzwyczajonemu do wspaniałości miast południa, wydały się piękne, kościoły, a przede wszystkim kolegiata św. Jana i Bernardyni na Krakowskim Przedmieściu zaczęły się przyozdabiać coraz ładniejszymi nagrobkami i altaryjami, które funduje zarówno szlachta mazowiecka, jak i miejscy patrycyusze, dbający o zbawienie swej duszy, a z drugiej strony nabierający powoli zamiłowania do sztuki plastycznej. Dowodem właśnie wzrastającej potrzeby dzieł sztuki zarówno wśród ziemian okolicznych, jak i mieszczan jest osiedlenie się w Warszawie malarza, który dziełami swymi miał nietylko przyozdabiać domy i świątynie stolicy, ale na-

wet przy pomocy swych uczniów produkował na eksport. Tym, jeśli nie pierwszym, to jednym z pierwszych artystów warszawskich był Adam — malarz. Nie wiemy, kiedy się mistrz Adam osiedlił w Warszawie, nie wiemy, kiedy, ani gdzie ujrzał światło dzienne. Przypuszczać można, że przywędrował do Warszawy z Zakroczymia, przynajmniej do śmierci posiadał dom w tem miasteczku. Do Warszawy przybył prawdopodobnie za rządów Zygmunta Augusta. Niewątpliwie konkurentów tu nie znalazł, to też nazwisko stało się mu niepotrzebne, nazywano go urzędownie nawet, po prostu malarzem „pictor“, jego zaś małżonki „malarkami“. Powodzić musiało mu się nieźle, skoro stał się posiadaczem nie byle jakiego domu na przedmieściu Freta, mieszczącego na parterze od ulicy izbę, a z tyłu kuchnię i dwie izdebki,



nadto w oficynie oddzielną izdebkę z sionką i kuchnią. Na swoim przedmieściu Freta należał też Adam malarz do najprzedniejszych obywateli. W roku 1588 widzimy go na stanowisku rajcy Przedmieścia, w roku 1591 rada miejska znowu wyznacza go na tę zaszczytną godność „subdelegati officialis suburbii Freta“. Nosił się też pan rajca-malarz nie byle jak, i chociaż nie miał tyle kosztowności, ile ich posiadali inni bogaci mieszczenie warszawscy, ale za to jak na owe czasy miał dużo bielizny, wszelkiego rodzaju prześcieradeł, koszul i powłoczek. Ten drobny szczegół świadczyć się zdaje o pewnej wykwinności mistrza Adama. Żonaty był pan Adam dwukrotnie: z pierwszą żoną doczekał się syna Andrzeja, druga, Agnieszka, córka niejakiego Stefana, kobieta zdaje się nie byle jakiego temperamentu, nie dała mu potomstwa. Pani Agnieszka przeżyła swego znakomitego małżonka i wkrótce po jego śmierci, pocieszona odziedziczonym po nieboszczyku spadkiem, oddała swe serce towarzysowi sztuki malarskiej p. Matysowi Dydyńskiemu, uczniowi p. Adama, wyzwolonemu przez niego przed samą śmiercią w roku 1569.

Mistrz Adam odznaczał się niezwykle wszechstronnością. Z pracowni jego wychodziły obrazy olejne i akwarele, zajmował się dalej pozłotnictwem, przyjmował zamówienia i na roboty snycerskie. Dzięki tej wszechstronności mógł się Adam podejmować robienia całych ołtarzy. Malarstwo religijne było zdaje się jego specjalnością, wśród obrazów jednak, znalezionych po śmierci mistrza w jego mieszkaniu, były między innymi portrety królów Władysława i Aleksandra, musiało go więc interesować i malarstwo świeckie.

Nie mamy śladów, któreby nam mogły wskazać, gdzie doskonalił się w swym fachu malarz Adam. Pewne fakty wskazują na związek jego z Niemcami, względnie ze Śląskiem. Farby i złoto sprowadza z Wrocławia, posiada dalej w swej pracowni 3 obrazy „malowania niemieckiego“, które być może służyły mu za wzór przy kompozycjach. Podobną rolę odgrywały znajdujące się w posiadaniu Adama 370 sztuk różnych obrazów popisowych, zwanych „kunstami“, tudzież 6 ksiąg rozmaitych, w których

były malowane kunsty. Nasz malarz, podobnie jak wszyscy artyści współcześni, posiadał w swej pracowni uczniów, którzy pracowali pod jego kierunkiem, czasami zaś wyjeżdżali na prowincję, by tam wykonać zamówienie, dane swemu mistrzowi. W ostatnich latach posiadał Adam dwóch takich uczniów, mianowicie Matysa Dydyńskiego i Stanisława Żmudzkiego.

Wielkiem wzięciem cieszył się mistrz Adam u szlachty. Przed samą śmiercią jeszcze przy pomocy stolarza, niejakiego Jakóba, wykonywał ołtarz w kościele bernardynów na zamówienie p. kasztelanowej łęczyckiej, dalej ołtarz dla p. Lewickiego, obraz dla p. Kalińskiego, ołtarz dla p. Nadarzyńskiej, wreszcie robił tablicę dla p. Brzezińskiego i wypełniał zamówienie kasztelana liwskiego, p. Wodyńskiego w Mniszewie. Sądząc z testamentu p. Adama, tudzież inwentarza jego rzeczy, odznaczał się on niezwykłą płodnością. Niestety dzisiaj nie wiemy, gdzie szukać dzieł jego, rozproszonych po Warszawie i okolicy. Umarł mistrz Adam 1596 roku, polecając duszę swą Bogu, pozostawiwszy w swej pracowni kilkanaście płócien, wśród nich jeden wielki obraz niedomalowany. Pracownia przeżyła swego mistrza. Prowadzi ją wdowa, p. Agnieszka przy pomocy wyzwolonych już uczeni Matysa Dydyńskiego i Stanisława Żmudzkiego. Między tymi dwoma jednak artystami rozpoczęły się gorszące kłótnie, podsycone być może tą okolicznością, że zarówno Matys jak i Stanisław starali się o łaski p. Agnieszki. Doszło do tego, że zazdrosny Stanisław tak dotkliwie pobił kolegę, że ten musiał odbywać kurację u balwierza. Udano się w końcu do „znanych ludzi“ z prośbą, by wystąpili w roli „jednaczy i komisarzy“. Panowie „jednacze“ kazali Żmudzkiemu, by zwrócił Dydyńskiemu kosztą leczenia i „dał pokój temu domowi malarki“ pod zakładem 100 zł., przeprosiwszy przy ludziach zarówno p. Agnieszkę, jak i Matysa. W ten sposób Żmudzki został usunięty z pracowni, założonej przez Adama, którą odtąd prowadził wyłącznie p. Matys Dydyński, poślubiwszy, jak wiemy p. Agnieszkę.

Tyle szczegółów przechowały księgi radzieckiego miasta Starej Warszawy o panu rajcy i malarzu Adamie.





Mieczysław Orłowicz.

## Z PODOLA GALICYJSKIEGO.

### I. NADDNIESTRZAŃSKA SZWAJCARYA.

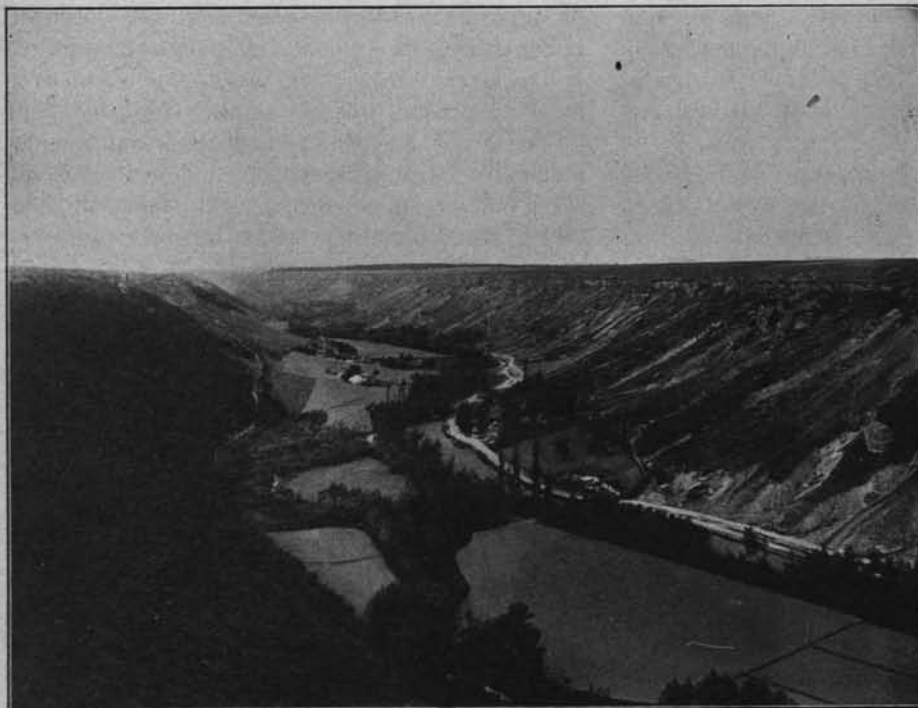
Dniestr przed opuszczeniem granic Galicji zmienia trzy razy swój charakter. Najkrócej, na przestrzeni kilku mil zaledwie od swych źródeł w Wotczu do Starego Sambora ma charakter rzeczki górskiej, a jego dolina nie należy bynajmniej do najpiękniejszych w Karpatach. Szeroka, otwarta, przeważnie bezleśna, bez wysokich szczytów i widoków, nie pociąga ani turystów ani letników.

Pod Samborem zmienia się charakter Dniestru. Połączywszy się z większym od siebie, dłuższym i piękniejszym strumieniem, który raczej powinienby uchodzić za źródłową rzekę Dniestru, zwraca się ku wschodowi i leniwie toczy swe wody po ogromnej, nieprzejranej łące bagnistej równinie, dziś przeważnie osuszonej i zajętej przez rzadkie wsie i torfiaste pastwiska. Krajobraz nudny i smutny — najbardziej monotony, jaki istnieje w Galicji. W sieni dala na południu mającą stryjskie Beskidy — zresztą brak czegokolwiek, co mogłoby rozerwać oko. Sama rzeka, robiąca corocznie swymi wylewami krociowe szkody, została ujęta w tamę, uregulowana i płynie wązkim, ale bardzo głębokim korytem. Pod Żydaczowem łączy się Dniestr ze Stryjem, piękną i dużą rzeką, która długo przedtem, po opuszczeniu Karpat błądzi po równinie, jak gdyby nie chciała pozbywać się swej indywidualności na rzecz spanoszonego rywala. Bo wszakże pod Turką, gdzie Stryj jest już większy niż Dniestr pod Samborem, leżą dopiero źródła Dniestru.

Poza ujściem Stryja, a potem Świcy i Siwki brzegi Dniestru, dotychczas płaskie, podnoszą się nieco; dopiero jednak od św. Stanisława, gdzie wpada z prawej strony najpiękniejszy z karpackich dopływów Dniestru, Łomnica, brzeg prawy podnosi się tak znacznie i staje się tak stromy, że nabiera podolskiego charakteru; stąd też można liczyć część trzecią Dniestru — jego jar podolski.

Nie jest on bynajmniej jednolity w całej swej długości od ujścia Łomnicy przy św. Stanisławie do ujścia Zbrucza w okopach św. Trójcy, gdzie Dniestr opuszcza granice Galicji. Początkowo, aż do Maryampola, wysoki jest jedynie brzeg prawy, południowy, na którym wznoszą się majestatyczne ruiny rozzebranego z nakazu rządu austriackiego zamku w Haliczu; brzeg lewy natomiast jest jednostajnie płaski. Dopiero między Maryampolem a Bukowiną brzegi obu stron podnoszą się do stu z górą metrów nad poziom rzeki, stają się strome, miejscami niemal prostopadłe, uwieńczone tu i owdzie skałami — jesteśmy na Podolu. Naprzeciw Maryampola wpada do Dniestru ostatni dopływ karpacki — Bystrzy-

nie brzeg prawy, południowy, na którym wznoszą się majestatyczne ruiny rozzebranego z nakazu rządu austriackiego zamku w Haliczu; brzeg lewy natomiast jest jednostajnie płaski. Dopiero między Maryampolem a Bukowiną brzegi obu stron podnoszą się do stu z górą metrów nad poziom rzeki, stają się strome, miejscami niemal prostopadłe, uwieńczone tu i owdzie skałami — jesteśmy na Podolu. Naprzeciw Maryampola wpada do Dniestru ostatni dopływ karpacki — Bystrzy-



JAR DUPY W KASPEROWCACH, POW. ZALESZCZYCKI.

fol. Ad. Wisłocki.

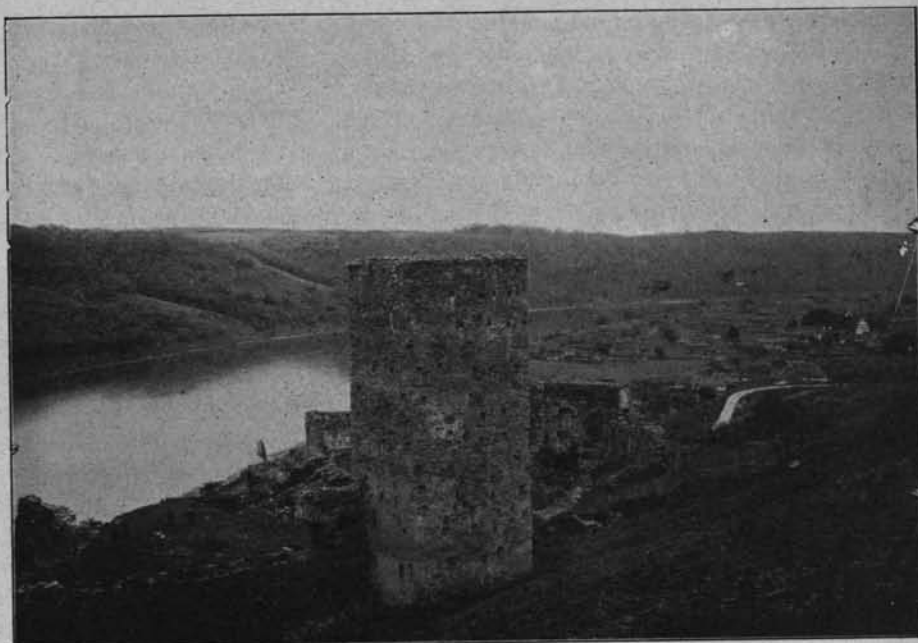
ca; odtąd zasilają go jedynie leniwie toczące się w głębokich jarach, równoległych do siebie, rzeki podolskie. Poczet ich zaczyna Wereszyca, pozbawiona jeszcze podolskiego charakteru; z kolei następują: Gniła Lipa, Żółta Lipa, Koropiec, Baryszka, Strypa, Dżuryńka, Seret, Niechtana i wreszcie graniczny Zbrucz.

Najpiękniejsza część podolskiego jaru Dniestru znajduje się na granicy powiatów tłumackiego i horodeńskiego

z jednej, buczackiego i zaleszczyckiego z drugiej strony, od Maryampola po Horodnicę na granicy Galicyi i Bukowiny. Ta to właśnie część nosi zasłużoną nazwę „naddniestrzańskiej Szwajcaryi“.

W oddalonym od Maryampola o trzy mile „miasteczku“ (sit venia verbo!) Niżniowie, zaczynają się owe ogromne, tak typowe dla Dniestru jego zakręty. W poprzek jaru przebiegają tu dwa imponujące długością ale nie pięknoscią mosty żelazne; jeden kolejowy, linii Stanisławów-Husiatyn, drugi drogowy. Ostatniej zimy, w czasach gorączki, wznieconej sprawą konsula Prochaski, ufortyfikowano oba i otoczono prócz wałów drutem kolczastym. Dziś jeszcze argusowe oko żandarmeryi i posterunków wojskowych czuwa badawczo nad tem, by jakiemu turyście nie przyszła do głowy karygodna myśl odfotografowania mostów — a podejrzanych o czyn tak bezbożny odstawia się do starostwa w Tłumaczu „celem dalszego urzędowania“, którego pastwą padają najczęściej Bogu ducha winni uczniowie gimnazjalni.

Na szczęście za Niżniowem, aż do Zaleszczyk, na przestrzeni dwóch dni jazdy łodzią, w najładniejszej właśnie części jaru Dniestru, żadnego mostu ufortyfikowanego, ani nawet nieufortyfikowanego niema, więc też turyści nie potrzebują tu żyć w ciągłej obawie noclegu w areście, jako podejrzani o szpiegostwo, mogą natomiast w całości oddać się podziwianiu piękności „naddniestrzańskiej Szwajcaryi“. Dniestr tu płynie szeroką wstęgą po kilka ki-



fol. Ad. Wisłocki.

RAKOWIEC NAD DNIESTREM, POW. HORODEŃSKI.

lometrów to na południe, to na północ, to na wschód, to na zachód, nawet przeciw swemu zasadniczemu kierunkowi, a za każdym zakrętem ukazują się coraz to inne, a zawsze urocze krajobrazy. Terytorium, wciśnięte między zakręty Dniestru, widziane zdaleka, tworzy już to jakby półwyspy, już to zatoki; półwyspy, od strony wewnętrznej zakrętów, mają zawsze brzeg płaski; zatoki, tworzące zewnętrzny brzeg zakrętu — wysoki, i to nawet bardzo wysoki. Myliłby się, kto by sądził, patrząc na mapę, że dwie wioski, leżące po dwóch brzegach Dniestru, sąsiadują ze sobą przez wodę, i że wystarczy czólnem przejechać przez Dniestr, by dostać się z jednej do drugiej. Tak nie jest. Jedne są zawsze wzniesione nad drugimi sto kilkadziesiąt metrów — mieszkańcy jednych patrzą zawsze z góry, na widoczną jak na planie, leżącą w dole wioskę na przeciwnym brzegu. Stąd często spotyka się tu nazwę wsi Horyhlady (po rusińsku „z hory hladyty“ znaczy — patrzeć z góry), przekręcone nieraz na Holihrudy. Wsie dolne mają żyzniejsze pola, ale narażone są na powodzie — górne znowu wobec braku źródeł na wyżynie podolskiej i niemożności wiercenia bardzo głębokich studzien przez płyty skaliste, cierpią na brak wody do picia, po którą trzeba schodzić przeszło sto metrów w dół aż do Dniestru.

Największy z zakrętów Dniestru rozpoczyna się przy ujściu Baryszki pod wsią Wozilowem. Rzeka zwraca się tu na południe, potem na zachód, znów na południe, na wschód,



z powrotem na zachód i na północ, a po przebyciu 28 kilometrów zbliża się znowu do Woziłowa, oddaliwszy się od początku swego zakrętu zaledwie o półtora kilometra. Punkt zwrotny tego zakrętu znajduje się pod Łuką, a cała ta okolica należy do najpiękniejszych części Dniestru. Wysokie, zalesione brzegi spadają stromo ku wodzie — pośród drzew bieleją tu i owdzie alabastrowe skały, gdzieniegdzie ciemna plama na nich oznacza wejście do licznych tu jaskiń. O jednej z nich krąży podanie, że jeszcze niedawno mieszkał w niej pustelnik; inna znowu, położona naprzeciw Monasterka, zasłonięta ma wejście, niby welonem, kroplami spadającego z góry potoku, który strop jaskini obwiesił zielonemi frendlami długich roślin wodnych. Za Łuką, w Rakowcu, ukazuje się na prawym brzegu, w połowie wysokości jaru potężna wieża zamczyska, spalonego w czasie walk konfederacji barskiej. Od strony wsi pozostała jeszcze brama ze śladami zwodzonego mostu, a nad nią tablica murowana z napisem, że zamek zbudowano w roku 1660. Zresztą ozdób żadnych, a mury już leżą w zupełnej ruinie. Najlepiej trzyma się olbrzymia, czworograniasta wieża, której liczne dziury całym gromadom wron i kawek za mieszkanie służą. Wrzask ich długo jeszcze za Rakowcem drażni ucho turysty.

Następną wsią za Rakowcem jest Uniź. Jego właściciel, p. Przybysławski, zamiłowany archeolog, zamienił swój dwór w prawdziwe muzeum archeologii, numizmatyki i krajoznawstwa; jako członek Grona konserwatorów Galicyi wschodniej, czuwa on też bacznie nad całością okolicznych zabytków sztuki i historii.

W przyszłości ma się ożywić tutejsza okolica. Zawiązała się już spółka akcyjna „Elektra“, która ma zamiar kosztem milionowych sum przekopać tunel z Woziłowa do Uniża, lub do Kościelnik, po drugiej stronie dniesirowskiego zakrętu, puścić weń część wody, a uzyskaną w ten sposób ogromną siłę użyć dla wytwarzania tanim kosztem takiej masy elektryczności, że zaopatrzyć nią będzie można wszystkie miasta podolskie, a nawet Lwów. Na razie jednak projekt ten jest tylko projektem, a dla jego realizacyi nic się jeszcze nie robi.

Za Uśniczkim w powiecie zaleszczyckim zmienia się charakter jaru. Brzegi jego stają się jeszcze wyższe, kamieniste, posępne, lecz mniej miłe, bo nagie. W ich górnych warstwach widać potężne zwały piaskowca płyty podolskiej, która wieńczy szarym fryzem zielony brzeg jaru. Co kilka kilometrów znajdują się wysoko nad Dniestrem kamieniołomy czerwonego

„naddniestrzańskiego marmuru“, który, spławiany Dniestrem, rozchodzi się daleko po świecie.

Ostatnią wsią galicyjską na prawym brzegu Dniestru jest Horodnica, jedna z najstarszych osad w kraju. Za wsią widać ślady wałów pogańskiego uroczyska — a wśród wykopalisk, znalezionych w samej wsi i w jej najbliższem sąsiedztwie, są zabytki wszystkich epok od neolitu zaczynając, a więc i epoki scytyjskiej i celtyckiej, rzymskiej i starosłowiańskiej.

Turystyka nad Dniestrem, a szczególnie turystyka wodna, nie wyszła jeszcze z okresu powojaków. O urządzeniach podobnych, jakie istnieją na Wiśle i Niemnie, o parowcach i ich regularnym ruchu mowy tutaj niema, a prawdopodobnie nigdy nie będzie ze względu na ogromne zakręty, przedłużające podróż oraz kompletny brak większych miasteczek (prócz Halicza i Zaleszczyk), leżących nad Dniestrem w jego spławnej części. Pod Haliczem stoi wprawdzie w przystani kilka małych parowczyków, służą one jednak wyłącznie dla robót koło regulacyi Dniestru i nie mają nawet żadnych urządzeń dla ruchu pasażerskiego.

Wycieczki Dniestrem można dziś odbywać w trojaki sposób. Sposób najłatwiejszy i najtańszy, to wsiąść na spławiane Dniestrem do morza drzewo, zbite w tratwy, uzbroić się w kolosalną, ze względu na powolność podróży, dozę cierpliwości i płynąć przez dziesięć dni z Halicza do Okopów św. Trójcy. Drugi sposób, to najmowanie łodzi u chłopów i płynięcie tak od wsi do wsi z biegiem wody; sposób nie tylko kosztowny, ale i dość kłopotliwy, wymagający nieraz ogromnej dozy krasomówstwa, celem przekonania nadbrzeżnych Iwanów, Dmytrów i Fed'ków o korzyściach, płynących dla nich z wynajęcia łodzi za grubą opłatą, o należytych stanie wody, która ich zdaniem jest stale raz za duża, drugi raz za mała.

Najlepiej mieć łódź własną. Ma ją od lat czterech lwowski Akademicki Klub Turystyczny, który corocznie organizuje kilka wycieczek Dniestrem, ma ją obecnie także kilka drużyn skautowych. Dzięki temu wycieczki Dniestrem nie należą obecnie do rzadkości, a bywalcy dniesirowsi, jak to było do niedawna, nie uchodzą za takich samych ekscentryków, jak badacze republiki Peru. Do niedawna bowiem, gdy się w Galicyi mówiło o wycieczkach wodnych, każdy miał na myśli jedynie Dunajec w Pieniach; o Czeremoszu wiedział mało kto, o Dniestrze nikt. A dziś już i turystyka dniesirowska ma swoją przeszłość i swoją literaturę, rozsypaną przeważnie w pismach ilustrowanych.

Podróż łodzią po Dniestrze, szczególnie

przy wysokim stanie wody lub pomyślnym dla żagla wietrze, gdy łódź mknie szybko naprzód, nastęcza wiele nadzwyczajnych wrażeń. Dniestr wiję się wśród prześlicznej okolicy żyznego Podola, a brzegi jego na przemiany to zniżają się, to opadają. Najpiękniejsza jest podróż wczesną wiosną, gdy drzewa kwitną, a powietrze przepelniają w dzień i w nocy pieśni ptaszyc chórów. Szachownica zasianych pól, szare smugi świeżo zoranej roli, jasne plamy łąk i ciemno-zielone gajów spływają ku wodzie z widnokregu, niby bogata królewska opona. W jej fałdach płyną tu i owdzie kopuły cerkwi, wychylają się z pośród jasno-zielonych sadów brunatne strzechy chat; poszczerbiona ruina, albo biały dwór mignie gdzieś na wierzchu jaru. Wy-sadzona strzelistemi topolami droga biegnie ku niemu, a opodal mała miejscina tuli się do stóp zbocza. Za każdym zakrętem inne widoki, inna forma, inne oświetlenie. Raz po raz mija się liczne, małe wysepki, zalesione lub nagie, dotykane rzadko stopą ludzką, a służące za bezpieczne schronienie dla wodnego ptactwa. Szczególnie czapli tu mnóstwo — brodzą poważnie po zaroślach nadbrzeżnych, szukając żeru — nie odlatują za zbliżeniem się łodzi, aż dopiero spłoszone rozpościerają swe olbrzymie skrzydła i wznoszą się ciężko w górę. Wysoko pod niebem kołują jastrzębie, a ich ostry, chrapliwy, niemily krzyk przeszywa często powietrze, wnosząc fałszywy ton w zgodną harmonię chórów ptaszycych.

Brzegi Dniestru są zazwyczaj bardzo oży-

wione. Przy promach linowych, spotykanych w każdej wsi, stoją gromady ludzi koło wozów, spieszących do pracy w polu lub na targi do pobliskich miasteczek — po rzece uwijają się liczne maleńkie czajki. Typowe młyny wodne, pływające na wodzie, ze skrzydłami, poruszane przez fale rzeki, obracają z powagą swe koła; u wodopojów rzą konie i ry-czy bydło, a przed każdą wsią szeregi skrę-tych gospodyń brodzą po kostki w wodzie i, podkasawszy spódnicę niemożliwie wysoko, piorą bieliznę, rozciągniętą na kamieniach, sma-gając ją nielitościwie kijankami. Ze wsi położo-nych na górze zbiegają drożynami, przecinają-cemi jar na ukos, zgrabne dziewczęta po wodę do rzeki, dźwigając ją potem powoli pod górę.

Inaczej wygląda Dniestr w słońcu, a ina-czej znowu, gdy szeptnieje w przykrych cie-niach chmur ołowianych. Najpiękniej jednak przedstawia się podróż rankiem, o wschodzie słońca, gdy na obwieszonych gałązkach drzew i kwiatów błyszczą, jak brylanty, krople rosy, lub też o zachodzie, gdy niebo zabarwi się ko-lorami karminu, a na czerwonej rzece zostawia łódź za sobą krwawą smugę.

Również wieczorem, gdy księżyc posrebrzy fale rzeki, ma podróż swój odrębny urok. Po-rosłe kępami drzew wysepki i ściany jaru roz-śpiewują się pieśniami słowicznych chórów, a ta-kie ich tu mnóstwo, że zdaje się, że to nie drobne ptaszęta, ale Dniestr cały rozśpiewał się o cichej, szarej godzinie, godzinie marzeń i snów.

C. D. N.



Helena Nuzikowska.

## BISKUPIE MIASTECZKO.

5)

Wśród tych lasów, pól i łąk gnieździło się i mnożyło huk ptactwa i zwierzyny. Wilków tu dawniej, zagładających nawet do miasta, było moc, a do dziś dnia grasują jesienią po kar-tofliskach stada dzików. Sarna, zając i borsuk

miały się gdzie przytulić, a i wydra miała w brzegach Muszynki swoje jamy. Kun, łasic i lisów także nie brakło, nie licząc rojów czarnych i rudych wiewiórek.

Z ptactwa wrzeszczały po lasach sójki,



## V.



RESZTKI RUIN ZAMKU W MUSZYNIE, POW. NOWOSĄDECKI.

trzepotały stadami sikory, szpaki, czeczotki, dzwońce, dzierzby, furkały co krok czarne i szare drozdy, ćwierkały dzięcioły, kwiliły jastrzębie i orły, chihotały piekielnym śmiechem po nocach puhacze. Nad wodą jak cewka tkacza przemknął się czasem zimorodek lub podrygiwały pliszki. Przepiórek i kuropatw dość było po zbożach ścierniach.

W jasnych wodach Muszynki i w szumiących falach Popradu pluskały się pstrągi, brzany, sielce, świnki, a czasem zjawił się węgorz.

Wśród usypisk kamienistych i po krzaczastych wąwozach przesuwają się milczkiem czarne, miedziane i zygzakowate żmije, lub wygrzewały się zielone jaszczurki. Z pod wilgotnych liści wylaziła na słotę plamista salamandra lub długi, o pawich kolorach ślimak, a nad brzegiem Muszynki polował wąż wodny na żaby i drobny zarybek. Z owadami jużby się nikt nie uporał, tyle tu tego było: i motyli i chrząszczy wszelkiego gatunku i pajaków i wiji, czego tylko dusza ptasia może zapragnąć. Królowały naturalnie motyle, a więc — pазie, admirały, żalobniki, pawiki, perlówki, cytrynki i kapustniki.

Ale wróćmy do miasta, do ludzi. W mieście do najokazalszych budynków należał kościół, zamek, ratusz, „kamienica“ w rynku i później, już za czasów austriackich, bóżnica żydowska.

Kościół pierwotny zbudowany został w r. 1320, zniszczył go pożar. Wedle aktów dominikanów krakowskich miała tu też być z XIV w. kaplica, czy mały kościółek dominikański pod wezwaniem św. Maryi Magdaleny, który zgorzał. Tradycja i dziś jeszcze wskazuje miejsce tego kościółka u wylotu ul. Węgierskiej i leżącego koło niego cmentarza, gdzie też do dziś dnia stoją krzyże, naturalnie już nieraz odnowione (grunt należy dziś do miejscowego notariusza). Wedle tradycji miał tu też być gdzieś w pobliżu klasztor misjonarzy, który zniszczyła usuwająca się wskutek powodzi góra. Czy na zamku znajdowała się jaka kaplica, niewiadomo. Pokazują tylko w kościele obraz św. Antoniego, na którym jest sylwetka zamku muszyńskiego, a który miał być przeniesiony z opustoszałego zamku do kościoła. Również i znajdujący się do niedawna w kaplicy żegiestowskiej obraz św. Teresy, haftowany wedle podania ręką królowej Jadwigi, miał stamtąd pochodzić.

W r. 1649 biskup Gębicki funduje nowy kościół parafialny na miejscu spalonego u wylotu ul. Wiśniej. Biskup Trzebicki nadaje mu dotacje w r. 1659, a poświęca go biskup Załuski w r. 1749 pod wezwaniem św. Józefa. Nowy kościół w formie łacińskiego krzyża, w stylu odrodzenia, miał być początkowo przeznaczony dla oo. franciszkanów, których biskup krakowski chciał tu osadzić, prawdopodobnie dla walki ze schyzmą, upornie trzymającą się ruskich wsi okolicznych. Boczne ramiona kościoła (jedno zniszczyła powódź w roku 1813) przeznaczone były widocznie na mieszkanie dla zakonników. Wysokość ich sięga dachu dwupiętrowej nawy kościelnej, a podzielone są poprzecznym belkowaniem na dwie kondygnacje, do których prowadzą schody. W zewnętrznych murze zaznaczone są silnie framugi zamurowanych okien. Później widocznie zamiar zmieniono i kościół oddany został proboszczom świeckim.

Wewnątrz kościół nie przedstawia nic ciekawego. Oprócz wymienionych już obrazów jest jeszcze stary obraz św. Maryi Magdaleny, umywającej nogi Chrystusa, dwa portrety fundatorów, Gębickiego i Trzebickiego, piękny bardzo, już późniejszy obraz Najśw. Panny Królowej Polski, tulącej pod płaszcz wszystkie sta-



ny, i z XVII w. ów obraz św. Antoniego (pędzla prawdopodobnie Lekszyckiego). Oprócz tych malowideł jest obraz św. Józefa (śmierć świętego) i św. Jana, odpowiadające sobie, niegdyś znacznie większe, opalone, z czego wnosić można, że pochodzą ze starego kościoła. Więcej starych pamiątek niema, chyba policzymy jeszcze trzy stare antepedia ze złocistej skóry we wzory wyciskane.

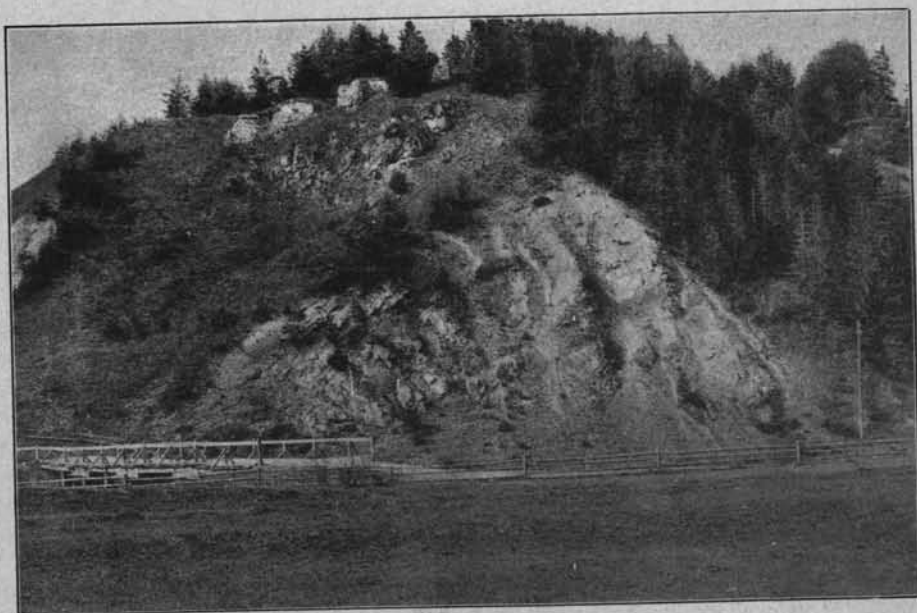
Zamek muzyński wnosił się w południowej stronie miasta, na górze zwanej „Wolą górą“, a dziś „Basztą“. Z resztek i śladów, jakie pozostały, a również z podobizny, jaka się zachowała na owym obrazie z XVII w. przedstawiającym św. Antoniego, można mieć wyobrażenie, jak zamek wyglądał. Była to budowla czworoboczna, niezbyt obszerna, o czterech basztach, które, łącząc się ze stromemi zboczami góry, nadawały zamkowi fizyonomię groźną i niedostępną. Tu mieszkał starosta biskupi, który miał władzę wojskową i administracyjną i pewne atrybucje sądownicze. Na zamku był skład broni i amunicji, tu też było schronienie mieszkańców w razie napadów. Starosta pobierał czynsze dzierżawne od mieszczan, zatwierdzał urzędy miejskie, gospodarował w kluczu muzyńskim, a przede wszystkim czuwał nad spokojem i bezpieczeństwem okolicy. Bliskość pogranicza i sąsiedztwo gniazd rozbójniczych wymagały czujnego oka i tęgiej ręki<sup>1)</sup>. Do końca XVII w. zamek trzyma się dobrze, ale potem powoli chylił się ku upadkowi, razem ze swoją macierzą, Rzeczpospolitą. Jeszcze używano go na skład broni i sprzętu wojskowej, ale to są już jego ostatki. Dziś pozostała z murów tylko jedna ściana i resztki podmurowań piwnicznych.

A tam, w zapadłych sklepieniach, jak mniema wiara ludu, znajduje się dwoje skamieniałych dzieci: chłopczyk z dziewczynką. Chłopak ma na palcu pierścień brylantowy, dziewczynka pa-

ciorki z pereł. W ogromnej sali, do której prowadzą drzwi żelazne<sup>1)</sup>, jest zakłute wojsko. Gdy w niedzielę palmową, podczas procesji ksiądz trzy razy uderzy krzyżem w główne drzwi kościoła, obróci się nieco pierścień chłopca, otwierają się żelazne drzwi, zakłęci rycerze odzyskują mowę, zasiadają do stołu zastawionego jak na święcone i uczują; usługuje im dziewczynka w perłowych paciorkach. Uczta nie trwa długo; po niedzieli palmowej wszystko znów kamienieje. Tak powtarza się co roku, dopóki pierścień brylantowy skamieniałemu chłopcu nie zesunie się z palca. Gdy to nastąpi, rycerze odkamienieją, staną pod dowództwem chłopca, połączą się ze „śpiącym wojskiem“ w Tatrach i stoczą straszną walkę z wrogiem. Wtedy owa dziewczynka ofiaruje każdemu rycerzowi jedną perłę na pamiątkę wybawienia ojczyzny.

„Złe“ jednak kusi ludzi przed czasem. W dzień św. Trójcy o samej południowej godzinie, gdy odprawia się suma, otwierają się piwnice zamkowe i widać tam skarby niezmiernie. Kto ma odwagę wejść, może nabrać złota, ile dusza zapagnie, ale śpieszyć się musi, bo jak tylko odezwą się dzwony kościelne na podniesienie, drzwi żelazne zatrzasną się z hałasem i odgradzają drogę do świata. Raz zapędziła się tam z dzieckiem na rękę jedna kobieta. Nuż zagarniać pienią-

<sup>1)</sup> Drzwi te widoczne były jeszcze przed kilku laty, dziś zawałone są zupełnie.



GÓRA ZAMKOWA W MUSZYŃCIE, POW. NOWOSĄDECKI.

<sup>1)</sup> W okolicy pokazują jaskinie zbójckie. Śpiewają też pieśni o zbójcach.



dze i złoto gdzie się dało, aby zaś jej dziecko nie wadziło, położyła je obok na ziemi. Wtem ozwały się dzwony na podniesienie, le-dwie zdołała niewiasta skoczyć ku drzwiom, gdy „w oczymgnieniu“ ze zgrzytem zatrzasnęły się za nią; wtedy się opamiętała, że dziecko zostało przy skarbach. Daremne były płacze i lamenty. Rozpaczała nieboga „widziało się dobrze nie zginęła“. Już tak „bożęka“<sup>1)</sup>, a gwałty robi, aż się ludzie zbiegli i poradzili jej iść do księdza. Ksiądz kazał czekać i modlić się aż do roku. Kiedy po roku znowu w dzień św. Trójcy na zamek pobiegła, zobaczyła drzwi otwarte, a na skarbach siedziało jej dziecię żywe, z czerwonym jabłuszkiem w ręce.

<sup>1)</sup> Wołanie: Boże, Boże!

W samym mieście na rynku stał ratusz, z dwiema przybudówkami po bokach. Były to jakby małe, kwadratowe, samoistne lamusy. W piwnicach ratusza były kaźnie, a w nich narzędzia męki, które podczas sądów ławniczych bywały w robocie. W rynku też stała owa wspomniana „kamienica“ t. j. piętrowy budynek z kamienia wzniesiony. Tu zapewne po opustoszeniu zamku przeniesiono kancelaryę zarządu starościńskiego. Za czasów austriackich „kamienica“ zastępowała wojsku koszary. Między szeregiem domów uderzała przed 70 laty pięknie snycerskim dłutem ozdobiona bóżnica, uwiecznił ją swym ołówkiem Andriolli. („Sztuka polska stosowana“; zeszyt, zawierający zabytki budownictwa polskiego, podaje kopię tego rysunku). Dziś niema z niej śladu.

C. D. N.



## Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Na pierwszym Zebraniu Ogólnym Oddziału Ostrowieckiego, które odbyło się d. 12 b. m. dokonane wybory powołały do Zarządu: pp. Jana Żakowskiego (prezes), Wandę Wardyńską i Stefana Czaplńskiego (vice-prezesi),

ks. Wł. Chranowski (sekretarz), Stanisława Izdebskiego (skarbnik), Alinę Makarewiczównę (bibliotekarka), Stanisława Mausza (gospodarz) i Ottona Bülowa (zast. gospodarza). Członków Oddział liczy 164. Na posiedzeniu swem w d. 21 b. m. Zarząd Oddziału postanowił: 1) zwoływać miesięczne zebrania, 2) założyć bibliotekę i czytelnię dla członków, 3) zapoczątkować zbiory krajoznawcze. Vice-prezes Zarządu Głównego p. Mikołaj Wisznicki wygłosił wobec wypełnionej sali zajmujący swój odczyt p. t. „Piękno naszego kraju“.

+ Dn. 15, 16 i 17 sierpnia odbyła się wycieczka, zorganizowana przez Oddział Łódzki P. T. Kr. (40 osób) do Ojcowia. Dn. 21 września r. b. odbyła się wycieczka (35 osób) do Łowicza i Arkadyi. Wycieczki prowadził p. Konrad Fiedler.

W Łowiczu wycieczka zwiedziła Muzeum Krajoznawcze, które może służyć za wzór dla innych

oddziałów; prowadzone jest wzorowo i w prowadzeniu i kierowaniu pracami znać umiejętną rękę, oraz celowość zadań oddziału łowickiego.

Prócz tego odbyło się kilka wycieczek mniejszych w okolice Łodzi, głównie dla studyów fizyograficznych. Zapowiedziana większa wycieczka do Liskowa została odłożona z powodów niezależnych od sekcji wycieczkowej.

Stalym powodzeniem i niezwykłą frekwencyą cieszą się zebrania wtorkowe, na których członkowie omawiają szczegóły projektowanych lub też odbytych wycieczek oraz dzielą się wrażeniami, ilustrowanymi na ekranie przy np. o Puławach, Kazimierzu i górach Świętokrzyskich.

Dn. 27 września r. b. na miesięcznym zebraniu p. Konrad Fiedler wygłosił pogadankę o Ojcowie, bogato ilustrowaną przezrociami. Umiejętne ujęcie przedmiotu oraz utrzymanie pogadanki w formie popularnej, nie pozbawionej miejscami humoru, ogólnie podobało się zebranych. Nastroj był sympatyczny, gdyż pogadanka nasunęła słuchaczom wiele wspomnień osobistych.

Na ostatnim miesięcznym zebraniu, odbytem w dniu 26 października r. b., poruszona była sprawa czytanek dla dzieci. Czytanki te z zakresu krajoznawstwa mają być prowadzone systematycznie. W tym celu Zarząd powierzył upatrzonym przez



siebie osobom sprawę wyboru tematów oraz prelegentów, aby rzecz całą zalegalizować.

Sekcja muzealna, powołując się na swoją odezwę w sprawie gromadzenia materiałów do przyszłej monografii miasta Łodzi, zapraszała do wspólnej pracy członków Oddziału Łódzkiego, aby zbiorowymi siłami zrealizować piękny zamiar. W tym celu Sekcja muzealna poleca zbierać rysunki i plany dawnych domów, budowanych dla tkaczy, etykiety fabryczne i stare pieczęcie cechowe, kopie przywilejów miejskich, wszelkie druki i roczniki dawnych pism, z których można będzie odtworzyć dawną Łódź, obecnie zanikającą w zmienionych warunkach gospodarki społecznej.

Na zakończenie zebrania licznie zgromadzeni członkowie wysłuchali odczytu o Polesiu, wygłoszonego przez p. K. Kulwiecia. Obfity materiał przyrodniczo-geograficzny, ujęty w przejrzystą formę, oraz niewyszukany a poważny styl prelegenta złożyły się na to, by dać słuchaczom sporą wiązaną faktów z życia mało znanego Polesia, zainteresować ogół odczytem i wzbudzić w niejednym ze słuchaczy zamiłowanie do rzeczy swojskich i ukochanie idei krajoznawstwa.

oooooooooooo

## Nowe książki.

*Aleksander Jabłonowski. Historia Rusi południowej od upadku Rzpltej Polskiej.— W Krakowie. Akademia Umiejętności, 1913 str. 366.*

W długim szeregu licznych prac konstrukcyjnych Aleksandra Jabłonowskiego dwie są najobszerniejsze: jedna o Akademii „kijowsko-mohilańskiej”, druga—o historii Rusi południowej do upadku Rzpltej. W ostatnim swem dziele wielki historyk pozostawił syntetyczne dzieło z zakresu przeszłości tych terytoryalnych indywidualizmów Polski, których badaniu i snuciu wątku dziejowego poświęcił długie lata. Po licznych szkicach, częstokroć opartych na materiale, wydawanym w pomnikowych „Źródłach dziejowych”, szkicach, dotyczących Wołynia, Podola i Rusi Czerwonej, rzucił zgłoszony badacz duży tom, urosły z zamierzonego artykułu do Encyklopedyi Polskiej, zawierający obraz życia na Rusi południowej od połowy wieku IX aż do upadku państwa polskiego, życia o punktach zwrotnych w latach 1540 i 1569, które tworzą miedze na polu 9½ wiekowej historii. Tam, na zaraniu dziejów pewnych, Polanie i Siewieranie, Drewlanie i Drehowiczanie, Dulebowie i Ulicze, Tywercy i Chorwaci żyją życiem pierwotnym, nędznym, ubogiem, zamkniętym w małych komórkach rodowych, z których jeden większy organizm utworzy doświadczona siła Rusów normandzkich, co się oprą, wiedzeni trafnym zmysłem politycznym, o Kijów. Kijowowi przypada rola pierwszorzędnego ogniska w nowoutworzonej rzeszy ruskiej. Tę rzeszę spajać, cementować, będą

i Włodzimierz W. i Jarosław i ich niektórzy następcy i hierarchia duchowna.

Na Rusi południowej przez w. XI i początek XII wyrabia się system dynastyczno-udzielny, który przetrwa tam do końca zwierzchnictwa Rurykowiczów. Z Polską trwa spór o grody czerwińskie, ale Ruś i Polska, jako społeczeństwa, nie wchodzi na drogę antagonizmów religijno-narodowościowych. Tymczasem Kijów upada przez w. XII, upada i przez XIII, aż fatalny cios tatarski rozsypie go w gruzy; upada i „rzesza ruska”, wybija się z dniem każdym bardziej bojarstwo; znaczenie jego odmienne w każdej ziemi, ale w dzielnicy halickiej największe.

Po zburzeniu Kijowa na Rusi południowej rozpiera się tatarska potęga, Podnieprze kruszy się na drobne działy, na Rusi zachodniej urastają w siłę Romanowicze, otaczani licznym bojarstwem; tu także wcześniej już spotykamy się z łacińskim obrzędem.

Ruś Czerwoną w latach 1540—49 zajmuje Kazimierz W., a zająwszy, rozwija gospodarkę państwową. Król Kazimierz opiekuje się i wiarą kulturą ruską, ale jednocześnie popiera osadnictwo polskie, jednocześnie urządza tu katolicką hierarchię. Rychło po zgonie kazimierzowym odpada Wołyń, Litwa zagarnia Bełz i Chełm, w zamkach Rusi Czerwonej przechadza się żołdactwo węgierskie, usunięte dopiero przez Jadwigę i Jagiellę, zespalających te ziemie z Koroną. Działalność cywilizacyjną, zainicyowaną przez Kazimierza W., kontynuują Jagielonowie, szlachta ruska stopniowo osiąga równouprawnienie z koroną, rozwija się osadnictwo na Rusi Czerwonej i na Podolu, powstają miasta; za księcia Witolda Łuck urasta na drugą stolicę W. Ks. Lit., a na feudalizmie opiera się militarna obrona wobec napaści tatarskich.

Szczególne znaczenie posiada wprowadzenie na Rusi Czerwonej prawa polskiego; wszak to tak wpływowy pierwiastek w procesie ściślejszego jej zespolenia z Koroną, choć formy administracyjne powoli tu się zaszczepiają, choć faktycznym władcą ziemi jest możnowładztwo. Polonizacja gmin widoczne czyni postępy: za Zygmunta I znika tu z publicznego język ruski. Podole jeży się warunkami, a bezpieczniejszy Wołyń, korzystając z pomyślniejszych warunków, przez w. XVI zaludnia się, bogaci, świeci mitrami książęcych rodów, tak licznych, tak rozrodzonych! Na Rusi, już przed unią lubelską, prosperuje cywilizacja zachodnia, rozsiewana przez kościół, dwór królewski, akademie. Wcielenie Wołynia do Korony w r. 1569 dokonywa się z wielką łatwością i pragnie tego gorąco samo ziemiaństwo wołyńskie, które dąży do zrównania się ze szlachtą koronną, do lepszej obrony od napaśników, zwłaszcza, że więzy Wołynia, Kijowszczyzny z Litwą tak słabe...

Od unii lubelskiej do rebelii kozackiej pod Chmielnickim ziemie Rusi południowej, coraz bardziej zbliżając się ku sobie, wywierają coraz znaczniejszy wpływ na sprawy całej Rzpltej. Rozwija się proces asymilacyjny, podnosi gospodarstwo,



wzrasta osadnictwo, wzmacnia się obronność południowych rubieży, a jednocześnie fermentują czynniki, kryjące w swym wnętrzu zapowiedź kataklizmów w połowie XVII w. Ponad wszystko urasta potęga możnowładców, oparta na dziedzicznych latyfundiach i tłustych królewszczyznach.

Na Ukrainie, dzięki rozdawnictwom Zygmunta III, niedawne pustkowia zawarły szumnym życiem, posunęły się dobra duchowne, królewskie, magnackie, szlacheckie, miasta, siola, chutory i miasteczka aż w głąb dzikich pól Poboża i Podnieprza, podczas gdy na kresach siewierskich zaroiły się przeważnie małe posiadłości.

Dużo uwagi poświęcił autor kozaczyźnie, o której już poprzednio ogłosił kilka monografii, kładąc nacisk na błędną wobec tego żywiołu politykę Rzpltej, która umiała wydawać „ordynacje“, ale nie umiała tego elementu uporządkować. Rozplomieniała się samowola, wzrastało rozdrażnienie Turcyi, wybuchały bunty, znaczone imionami Kościńskiego, Nalewajki, Łobody, Tarasa, Pawluka!

Ku Rusi splywa szeroki potok polskiego żywiołu, który się zatrzymuje i po miastach, ale ten żywioł tonie w ruskiej masie, traci swoisty koloryt. Na Rusi podnosi się poziom ekonomiczny i kulturalny, rozwija kościół i jego działalność cywilizacyjna, zwłaszcza od Zygmunta III. Oddziaływują na rzesz kultury polskiej i wpływy kalwińskie i aryańskie, odszczepiając znaczne odłamy żywiołu ruskiego od prawosławia i staroruskiego obyczaju. Sieć szkół katolickich okrywa Ruś południowa, obok nich mnóstwo — dysydenckich, a ruską świadomość wyrabia Akademia kijowsko-mohilańska, wyższa uczelnia, która dla nauki nic nie uczyniła przez czas swego istnienia.

Zdawać się tedy mogło, że życie na Rusi koronnej pójdzie zwykłym trybem... Obłok tej złudy rozegnał bunt Chmielnickiego, z którym rozpoczyna się na Rusi i dla Rusi okres ruiny—z dymem i wiatrem idą owoce pracy wiekowej, w potwornych rozmiarach żywiołowej potęgi wstają czynniki, tkwią-

ce w stanie potencjonalnym, nie przekształcone w pożyteczny materiał przez rząd Rzpltej. Zapasy z kozactwem, walki z hordami tatarskimi i Turkami wypełniającej okres „ruiny“ (1648—1699).

Doroszenko, jakby w spuściźnie po Chmielnickim, podejmuje myśl utworzenia z Ukrainy osobnego holdowniczego państwa, pod zwierzchnictwem sultana, którego podszczuwa przeciw Rzpltej, traktatem buczackim „pozbawionej Podola i Ukrainy; a od r. 1680 i Zadnieprze odpada od Rzpltej, gdy na prawym brzegu Dniepru żyje dążność do oddania się Moskwie. Mazepa wzniesie myśl skupienia całej Ukrainy pod swoją władzę, żelazna dłoń Piotra W. roztrząska dumne zamiary w drobne szczątki!

Rokiem 1712 można zamknąć dzieje wolnej kozaczyzny na prawym brzegu Dniepra. Więcej normalnego życia było na zachodniej części Rusi południowej, tu ząb „ruiny“ mniejsze szczyby poczynił. Wogóle, zaznaczyć wypada, ziemie te dewastowane za Sasów, potem niszczone za Stanisława Augusta, wycierpiały więcej, niż ongi od Tatarów.

Upadek polityczny Polski kładzie kres dziejom Rusi południowej pod panowaniem Rzpltej.

Dzielo Aleksandra Jabłonowskiego odznacza się ogromną treściwością, która uniemożliwiała czytanie go tak, jak się czyta np. prace K. Szajnochy; trzeba je czytać powoli, ale znajdzie w tej pracy czytelnik wszystko, co o przeszłości Rusi południowej wiedzieć powinien. Pamiętać należy, że zmarły uczony przez długoletnie wydawnictwo źródeł dziejowych, przez liczne monografie, przeważnie na tych źródłach oparte, wreszcie przez prace nad Atlasem ziem ruskich Rzpltej posiadał olbrzymią wiedzę w tym zakresie i wytrawny sąd, wyprowadzony z głębi tej wiedzy, sąd, z którym w wysokim stopniu liczą się nie tylko u nas, czego dowodem np. sprawozdanie rosyjskiego uczonego prof. Sobolewskiego.

R. M.

oooooooooooo

---

**TREŚĆ:** *Kazimierz Moszyński* — Z Ukrainy (c. d.). (z 7 ryc.). *I. T. Runo* — Mistrz Adam. *Mieczysław Orłowicz* — Z Podola Galicyjskiego (z 2 ryc.). *Helena Nuzikowska* — Biskupie miasteczko (c. d.) (z 2 ryc.). Z Pol. Tow. Krajoznawczego. — Nowe książki. — Poza tekstem: Widok z Kiczery nad Worochtą w stronę Czarnohory.

---

Winiętą tytułową i ozdoby w tekście (motywy podhalańskie) rysował Mikołaj Wisznicki. — Odbito w tłoczni A. Pęczalskiego i K. Marszałkowskiego. — Składał i łątał Ignacy Poniatowski. — Odbijał na maszynie Jan Janczak. — Papier krajowy z fabryk A. Moesa w Pilicy.

---

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.